

Płyn pod wiatr

AUTOR: JACEK CIEŚLAK

Deprawator Macieja Wojtyszki z kreacją Andrzeja Seweryna w roli Witolda Gombrowicza idealnie łączy cechy żywego biograficznego portretu z formą „sztuki dobrze skrojonej”. Wyrasta ponad poziom gatunku dzięki tematom i bohaterom, również takim jak Czesław Miłosz i Zbigniew Herbert.

■ Czy to Witold Gombrowicz czy Andrzej Seweryn? Takie pytanie mogą zadawać sobie widzowie *Deprawatora*, nie kryjąc zachwyty nad mimetycznymi zdolnościami dyrektora Teatru Polskiego w Warszawie. Ale i rozbawienia, wywołanego grą Seweryna z zapamiętanymi przez nas zdjęciami Gombrowicza z czasów pobytu w Wenecji, które są też reprodukowane w programie spektaklu.

Stawką gry wybitnego aktora jest wyznanie widza: ależ jest ładząco podobny do autora *Kosmosu!* Nie ukrywajmy – nawet w naszych, za przeproszeniem, postdramatycznych czasach, gdy niektórzy aktorzy buntują się przeciwko „teatrowi reprezentacji” – a może właśnie w takich czasach! – moment, gdy zaciera się granica między teatrem a życiem lub gdy przeżywamy współcześnie obrazy z przeszłości, zachwyca chwilą teatralnej iluzji. O wiele bardziej niż wirtualna rzeczywistość, ponieważ jest dziełem aktorskiej transformacji, a nie technologicznych trików.

Wspaniałe w kreacji Andrzeja Seweryna jest to, że grając Gombrowicza, nie zamęcza nas efektem podobieństwa scenicznej postaci do oryginału. Tylko kilkakrotnie, może przez sekundę lub dwie, odwraca się profilem do widzów, będąc bohaterem w stu procentach. Otwiera usta jak pisarz w astmatycznym oddechu. Prezentuje też idealnie dopasowaną do roli fryzurę z siwymi, wycieniowanymi kilka centymetrów nad uszami włosami. Reszta jest już graną z polotem wariacją na temat Gombrowicza, wykonywaną jednocześnie z dystansem i przekonująco. Można zapytać, czy Gombrowicz kiedykolwiek osiągał taki stan rozbawienia własnymi grammi towarzyskimi jak Seweryn w *Deprawatorze*? Czy tak jak

aktorowi błyszczą mu w rozbawieniu oczy? To mogłaby stwierdzić tylko Rita Gombrowicz. Ale przecież nie o stempel oryginalności, wystawiony tej roli przez wdowę po pisarzu, chodzi. Z perspektywy widza aktorska kreacja jest ważniejsza niż dokumentalna wierność, jeśli wypada przekonująco. Seweryn jest pod tym względem mistrzem, co udowodnił ostatnio, grając Beksińskiego w filmie *Ostatnia rodzina*.

Zacząłem od roli aktora, bo jest w *Deprawatorze* najważniejszy. Ale teatralny materiał do gry zawdzięcza Maciejowi Wojtyszce, który wyreżyserował niegdyś wspaniałe *Ferdurke* w Teatrze Telewizji, z Janem Peszkiem w roli głównej. W ostatnich latach wyspecjalizował się w sztukach biograficznych. Jeśli chodzi o jego przygody z Gombrowiczem, napisał i wyreżyserował dobrze przyjęty *Dowód na istnienie drugiego* w Teatrze Narodowym, osnuty wokół spotkań autora *Ślubu* ze Sławomirem Mrożkiem, których grają Jan Englert i Cezary Kosiński. Idąc za ciosem, postanowił opowiedzieć nam o spotkaniach Gombrowicza z Czesławem Miłoszem i Zbigniewem Herbertem. Zachęta popłynęła od Janusza Majcherka, dyrektora artystycznego Teatru Polskiego w Warszawie.

Będąc autorem entuzjastycznej recenzji *Dowodu na istnienie drugiego*, zdawałem sobie sprawę z tego, ile inwencji i energii wymagało zbudowanie dramaturgii w scenach, w których dialog był de facto monologiem Gombrowicza/Englerta, bo jak wiadomo, Sławomir Mrożek ograniczał się praktycznie do roli słuchacza. W wywiadzie na łamach „Teatru” tłumaczył, że w konfrontacji z grammi Gombrowicza wołał być „poza sytuacją”. W *Deprawatorze* wynikających

z tego ograniczeń w pisaniu dialogów i graniu ich – nie było. Gombrowiczowska gra toczy się we wszystkich możliwych wymiarach: między-ludzkim, słownym, między słowami i na miny, a nawet na minasy, co grają sceniczni Miłosz (Wojciech Malajkat) i Herbert (Paweł Krucz).

Wszystko zaczyna się językowym suspensem w słonecznym salonie Gombrowiczów, zaprojektowanym przez Pawła Dobrzyckiego, który gra także rolę mieszkania Miłoszów. Jesteśmy świadkami, jak Gombrowicz prowadzi na granicy przekomarzania się i sprzeczek rozmowę z Ritą (Anna Cieślak) – po francusku. Ci, którzy nie znają języka Moliere’a, mogą się czuć bezpiecznie: Wojtyszko nie nadużywa ich cierpliwości, chodzi mu tylko o to, by stworzyć punkt wyjścia do pierwszej mocnej pointy, wywołującej śmiech widzów. A świetnie pointowanych dialogów jest wiele. Krótka, dynamiczna fraza obfituje w paradoksy i anegdoty. Podnoszą temperaturę słownych pojedynków. Pierwszą scenę Wojtyszko konstruuje z użyciem francuskiego, by Herbert został trafiony przez Gombrowicza rykoszetem. Witold wykorzystuje nieznaną polskiemu Ritę, by żegnając autora *Potęgi smaku*, powiedziała mu z niewinnym uśmiechem na ustach, nieświadoma tego, co mówi: „Pocałuj mnie w dupę!”

Herbert jest w spektaklu Wojtyszki młodym, ale już docenionym Nagrodą Kościelskich poetą, którego Rita zna i ceni jako autora *Barbaryńcy w ogrodzie*. Ten tytuł stanowił z pewnością dla autora sztuki wskazówkę do tworzenia postaci człowieka czującego się w salonie uznanego już na świecie Gombrowicza jak prowincjusz. A jednocześnie przybywający z PRL

TEATR POLSKI
IM. ARNOLDA
SZYFMANA
W WARSZAWIE

Deprawator
Maciej Wojtyszki

reżyseria
Maciej Wojtyszko
scenografia
Paweł Dobrzycki
muzyka
Paweł Moss

premiera
28 września 2018

Anna Cieślak
(Rita Labrosse),
Andrzej Seweryn
(Witold Gombrowicz)



fol. Marta Ankersztejn

Polak przerażony jest jego kosmopolityzmem, skłonnością do gry i prowokacyjnych opinii. Paweł Krucz pośród tuzów polskiego teatru prowincjuszem nie jest. Świetnie gra postać ideowego przybysza z Polski, który po kolejnych rozmowach buntuje się przeciwko Gombrowiczowi. Ale im świętsze jest to oburzenie, tym lepszą autor sztuki ma okazję, by poprzez wypowiedzi innych postaci w delikatny, zawołowany sposób przypomnieć, że Herbert, krytykując Gombrowicza i Miłosza za brak ideowości oraz solidarności z Polakami w PRL, tworzył jednocześnie fałszywą biografię bohatera z AK, którym nigdy przecież nie był.

Skłonność do martyrologizacji przeszłości i eksponowania własnego patriotyzmu kosztem rzekomo bezideowej postawy innych jest w postaci Herberta wyraźnie zaznaczona. Oglądamy Herberta, który dopiero dojrzeje do tego, by za kilka lat w Berkeley zarzucić Miłoszowi narodową zdradę i popieranie pomysłu przyłączenia Polski do ZSRR jako „17. republiki”, co stało się przyczyną konfliktu poetów. W *Deprawatorze* animozje dopiero kiełkują, a Wojtyszko robi aluzje do dzisiejszego dzielenia Polaków na „prawdziwych patriotów” oraz „zdrajców narodowej sprawy”. To dlatego Gombrowicz ironizuje na temat studiów, które Herbert odbył w... Toruniu, choć Herbert nie studiował u Rydzyka, tylko u Henryka Elzenberga. Na tym tle również jako odautorskie trzeba odebrać te partie dialogów Gombrowicza i Miłosza, w których

z całą siłą dystansują się oni od konserwatywnej wizji patriotyzmu, jeśli podszyta jest demagogią i hipokryzją. Miłosz grany przez Wojciecha Malajkata przekonuje, że endecka mentalność jest niereformowalna i groźna dla Polski. Gombrowicz dodaje swoją metaforę polskości: Polacy przypominają kaczkę, które tyłają się w błocie, zamiast kąpać w czystej rzece, płynącej tuż obok.

Zaletą sztuki Wojtyszki jest również to, że przypominając poglądy Gombrowicza, Miłosza i Herberta, pozwala zapoznać się z nimi tym widzom, którzy nie poruszają się w kwestiach historii literatury i Polski z dużą swobodą. Pokazuje ludzi wybitnych, ale nie w ujęciu pomnikowym. Z ich śmiesznościami i zaletami, niestroniących od kieliszka, rozkoszy stołu, domagających się rano gigantycznej jajecznicy na kaca.

Gombrowicz grany koncertowo przez Seweryna co chwila wymyśla i reżyseruje towarzyskie sytuacje, by prowokować, zaskakiwać, pobudzać do refleksji. Ale też wykreować siebie i zdominować innych. Najlepsza jest scena z dostarczeniem listu informującego o przyznaniu Nagrody Formentora, drugiej co do ważności po Noblu. Gombrowicz robi wszystko, by informacja stała się centralnym wydarzeniem zaranżowanej przez niego naprędce kolacji z udziałem Miłoszów. Reżyseruje spektakl z wielkim finałem, który nie obywa się bez zabawnych komplikacji. A jednocześnie stanowi popis An-

drzeja Seweryna, grającego z ironią także wobec swojego gwiazdorstwa.

Wojtyszko wszystkich członków obsady wyposażył bowiem w tekst i sytuacje, które współtworzą komiczny efekt, zderzając ich prywatność, a nawet stereotypy na ich temat, z prywatnością bohaterów sztuki. W roli aktorki Izy de Neyman, z którą najprawdopodobniej Miłosz miał romans przed wojną, Wojtyszko obsadził Magdalenę Zawadzka. Ma bodaj najtrudniejszą rolę, ponieważ musi wysłuchiwać wypowiedzianych z szyderczym uśmiechem uwag scenicznego Gombrowicza o tym, że jej postać jest „głupią aktorką”. Wojtyszko dał jednak Zawadzkiej szansę na pełne dystansu riposty: gdy jej bohaterka mówi o trudnych do zrozumienia wydarzeniach w Polsce, dodaje z zabawnym niedowierzaniem: „Ja to chyba głupia jestem!”. I zbiera zasłużone brawa. Zawadzka ma też okazję przypomnieć słowa Gomułki o Gustawie Holoubku, jej mężu, i kreacji wybitnego aktora w Dejmkowskiach *Dziadach*.

Janina Miłosz jest interpretowana świetnie przez Grażynę Barszczewską. Żona poety nie daje się zaskoczyć żadnym głupstwem w wykonaniu literatów, zachowujących się czasami jak dzieci, robiących sobie sztubackie żarty.

Spektakl ma dramatyczny finał. Jego uweraturę stanowią szampan i maliny, których Gombrowicz zażył sobie tuż przed śmiercią. Już zza światów mówi do nas: „Nie lawiruj, płyn prosto pod wiatr”. ■